

# Prawdziwy król „społeczności przyjaciół”

tekst: Błażej Żułowski  
foto: materiały prasowe

Angelina dostaje z łokcia od swojego kambodżańskiego synka. Gwyneth zakłada sobie nogi za głowę. Valentino z trudem robi poranne brzuszki. Nikt nie potrafi spojrzeć na gwiazdy tak jak on – patrzeć na nie, ale nie podglądać. Panie i Panowie, Mario Testino

Gdyby Mario Testino był na Gronie albo miał prywatny profil na MySpace, wśród jego znajomych zobaczylibyśmy takich ludzi, jak Demi Moore i Ashton Kutcher, Mark Anthony i J.Lo, Brangelina, David Bowie, Mick Jagger, Madonna, Scarlett Johansson, Gael Garcia Bernal, Joan Collins, Michelle Pfeiffer, Cameron Diaz, Lindsey Lohan lub Keira Knightley. Długa wyliczanka,

wiem i przepraszam, mnie też zabrakło tehu. Chciałem jednak, byście zdali sobie sprawę z rozmiaru i klasy towarzystwa, w jakim Mario się obraca. Mało tego! Testino, w przeciwieństwie do nas, którzy w swoich profilach mamy Marca Jacobsa, a nawet Weird Ala Yankovica, zna tych wszystkich wyżej wymienionych osobiście. Myślisz, że ze swoim tysiącem znajomych, których nie wdziałeś na oczy, jesteś cesarzem MySpace? Zastanów się jeszcze raz.

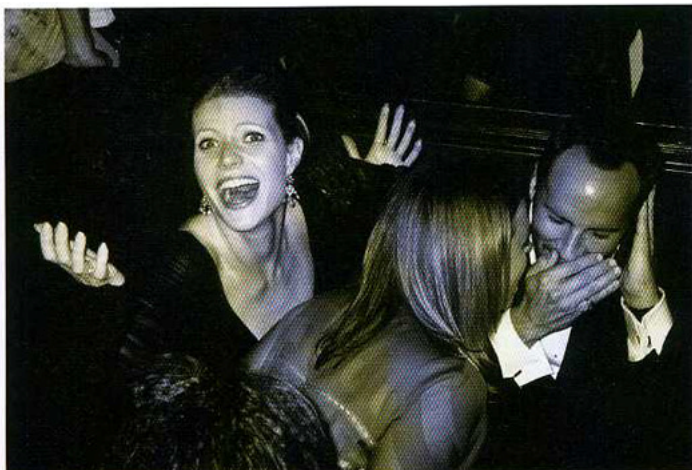
## Na początku było Sumo

Z pochodzenia Peruwiańczyk, Mario swoją międzynarodową karierą udowodnił, że można się urodzić nawet na najgorszym zadupiu, ale przy odrobinie szczęścia, talentu, ciężkiej pracy i sprytu wspiąć się na sam szczyt. A gdzie on jest według Testino? Teoretycznie jest to Londyn,

w którym mieszka. Jednak pracując dla tytułów typu „Vanity Fair”, „GQ” czy brytyjski, amerykański, włoski i francuski „Vogue”, Mario praktycznie żyje na walizkach, podróżując po całym świecie. Jako fotograf jest autorem licznych kampanii reklamowych, między innymi dla Estee Lauder, Burberry oraz Versace. Jego indywidualne wystawy zjeżdżają cały świat, od Japonii po Włochy. Właściwie chyba tylko w Polsce go nie było, gdyż zainteresowanie tego typu fotografiami jest u nas, mimo że jako czasopismo lajfstajlowe chcielibyśmy myśleć inaczej, znikome. Wystarczy przejść się na jakikolwiek wernisaż firmowany przez ZPAF czy którąś z fotograficznych szkół – 95% fotografii tam pokazywanej to tak zwana „fotografia artystyczna”. Na tych wystawach czuje się zawsze tak, jakbym zwiedzał muzeum pełne

reprodukcji, namalowanych w stylu wielkich mistrzów, dajmy na to barokowych, tyle że krajobraz czy przedmioty na obrazach zostały podmienione na nowoczesne. Nic poza tym się nie zmieniło: taka sama gra światła i cienia, taka sama technika malarska, taki sam sposób kładzenia farby, tylko na stole zamiast gęsiego pióra leży iPod, zamiast statku z trzema masztami mamy tankowiec. Dobrze, że polskie malarstwo nie ogląda się tak często za siebie (chyba, że w poszukiwaniu cytatu w celu jego przetworzenia), jak robi to fotografia, wtedy bylibyśmy naprawdę zgubieni. Wracając do Maria, jego zdjęcia znajdują się w kolekcjach National Portrait Gallery, Victoria & Albert Museum w Londynie oraz na Uniwersytecie Nowojorskim. Został ponadto doktorem honoris causa University of Arts w Londynie, a także laureatem nagrody Rodeo





Drive Walk of Style Award, za (w wolnym tłumaczeniu) „Wielki wkład w świat mody i rozrywki”. Wydaje mi się jednak, że przybliżyłam jego sylwetkę bardziej *pro forma*, niż po to, by kogokolwiek z jego postacią zaznajomić, bowiem fakt jest taki, że Mario Testino jest jednym z najważniejszych fotografów żyjących obecnie, czy się go lubi, czy też nie. Żeby uczcić jego osobę i pracę twórczą, koledzy i koleżanki z niemieckiego wydawnictwa Taschen postanowili wydać limitowaną edycję tysiąca egzemplarzy (wszystkie podpisane przez autora), albumu z odrobiną bardziej „autorską”, „prywatną” twórczością fotografa. Warto też dodać, że wydana w twardej oprawie książka jest raczej okazałych rozmiarów (30,9 cm x 42,5 cm + kartonowe opakowanie) i że kosztuje 350 euro. Oznacza to, że w oczach wydawnictwa Testino dołącza do kolejnego grona, grona mistrzów wyróżnionych albumem-grigantem. Zwyczaj ten, rozpoczęty słynnym Sumo Helmuta Newtona, wydawnictwo kontynuuje ze swoimi ulubieńcami, do których należą Nobuyoshi Araki, Leni Riefenstahl, Juliusz Shulman czy osobiście przede mnie nielubiany, Piotr Rubik światowej fotografii, David LaChapelle. Jeśli chodzi o sam album, to jest on zachwycający. To jest moja, ostrzegam, bardzo subiektywna opinia, albowiem mam kompletnego świra na punkcie tego typu fotografii.

#### Chwile ulotne chwytą jak sygnał satelita

Eksploracji prywatności, oswojenia kogoś z obiektywem w sytuacji prywatnej wraz z upływem czasu,

wydobywania jakiejś autentyczności, czasami w sposób bardzo estetycznie wysmakowany, a czasami przez jakiś dziaki, przeekspozowany i nieostry przypadek – to kwintesencja stylu Testino. Już sam tytuł i okładka przedstawiająca Demi Moore malującą swemu Ashtonowi usta, wiele mówią. *Let me In* jest podróżą do wnętrza prywatnego świata tak zwanych „gwiazd”. Ponieważ odbywa ją człowiek zaprzyjaźniony z nimi, pozwala nam zobaczyć ich takimi, jakimi zwykle ich nie widzimy. Nie ma tu nic z wystudiowanych póz, autokreacji, gwiazdy zapraszającej „ekipę z 'Vivy'” do swojej chaty. Dalej od bosej Joanny Brodzik w dżinsach i białym podkoszulku, „przylapanej” przy codziennych domowych czynnościach przez Piotra Porębskiego już być nie można. Nie jest tu również „podglądactwo” spod znaku paparazzi, którzy zasadniczo nie lubią bohaterów swoich fotografii. Tabloidy w końcu zarabiają ciężkie dolary na skandalach, brzydocie i Lindsey Lohan, chodzącej od czterech dni w tym samym podkoszulku. Najwygodniej jest im prezentować następujące stanowisko: „Ci podli, głupi, zepsuaci ludzie, nie zasługują na swoją popularność i pieniądze, niech więc cierpią z powodu swojej sławy, skoro już się na nią zdecydowali”, po to, by za te marne parę groszy za magazyn zakompleksieni czytelnicy mogli podbudować swoje ego. Tymczasem Mario, traktuje swoich „modeli” z wielką dozą ciepła. Chwile ulotne chwytą jak sygnał satelita (jak mówi piosenka), pokazując, podpatrując ich w jak najwykleszych sytuacjach. Czy to na przyjęciu, czy to podczas

konsypcji śniadania, a nawet podczas wizyty u fryzjera. Nie ma tu mowy o żadnym pozowaniu, a jeśli jakieś jest, to tylko z wydziwkiem „humorystycznym”, jak na przykład Gwyneth Paltrow zakładająca sobie nogi za głowę. Na zdjęciach Testino Beyonce „baunsuje” na dyskotekę jak twoja koleżanka, ta która, tak lubi tańczyć. Angelina dostaje niechący z łokcia w buźkę od swojego kambodżańskiego synka, zaś staruszek Valentino z trudem robi brzuszki. Uśmiechy są prawdziwe i szczere, zmarszczki niewyretuszowane. Przede wszystkim, z każdym przewróceniem strony, a raczej – w moim przypadku – przewinięciem kawałka w pdf-ie, uderzało mnie za każdym razem to, że ci wszyscy przedstawieni na fotografiach ludzie wydają się „normalni”. Czyli właściwie tacy, jacy są, jacy chcieliby być, czy też – jacy powinni być. Ale nie myślcie sobie, że dla mnie Testino jest ze spiżu odlany. Wnioskując po jego wypowiedziach w wywiadach udzielanych różnym gazetom, wydaje mi się, że Mario jest w gruncie rzeczy idiotą. Częstotliwość, z jaką nadużywa słowa „glamouros”, jest zaiste przerażająca. Pomijając ten fakt, zresztą, żeby być dobrym fotografem czy na przykład aktorem, nie trzeba być wcale inteligentnym (tu nie będę przytaczał słynnej opowieści o Aleksandrze Zelwerowiczu), mówi się, że wielką siłą Testino jest to, iż potrafi pracować z ludźmi jak nikt inny w tym biznesie. To widać. X

**Mario Testino**  
**Let me In – Special Edition**  
Wydawnictwo Taschen

